

Wspaniały szwajcarski ser...

Depesza przyszła gdzieś z początkiem sierpnia: „Wystawa aktualna, prosimy przyjechać, aby omówić szczegóły”.

Nie ma co ukrywać, że zarówno dla mnie, jak i dla naszego Muzeum była to okazja wyjątkowa. Szwajcaria - kraj cywilizacji, dobrobytu, pieniądza, cudownej górskiej przyrody, frapował mnie od dawna.

Teraz nadarzała się okazja. I tak, miesiąc później siedziałem w rejsowym samolocie PLL LOT z Warszawy do Genewy. Wystartowaliśmy we mgle i chmurach, ale już niebawem, gdzieś nad Niemcami pojawiło się słońce, a w jego promieniach odległy jeszcze, lecz jakże wspaniały łańcuch gór. Im byliśmy bliżej, tym stawał się on piękniejszy, groźny i tajemniczy. Nie przyszło mi wówczas na myśl, że właśnie wśród tych gór dane mi będzie przeżyć jedną z najwspanialszych przygód mojego życia. A było to tak.

Pięciodniowy program pobytu przewidywał trzy dni poświęcone na pracę oraz dwa na zwiedzanie. Wystawa miałyby się odbyć w Sierre, miejscowości leżącej w kantonie Wallis, na południu Szwajcarii. W cudownej dolinie pełnej zabytkowych zamków i klasztorów ciągnącej się ze wschodu na zachód wzdłuż Rodanu.

Dołem wspaniała roślinność, kwiaty, winnice, drzewa owocowe.

Wyżej ośnieżone, niebotyczne szczyty, a jeszcze wyżej błękit, bo ten raj na ziemi ma około trzystu słonecznych dni w roku.

Wśród licznych propozycji spędzenia wolnego czasu, jedna zelektryzowała mnie szczególnie.

„A może chciałbyś zapolować na kozice?” - padło od niechcienia rzucone pytanie.

Nie wierzyłem własnym uszom. Miało się ziścić jedno z najskrytszych moich marzeń?

Tak, chcę! Oczywiście, że chcę! Mimo że nie mam swojego sprzętu, że nie jestem wspinaczem, że moje serce i kręgosłup nie są w najlepszym stanie, a w każdej chwili może mi się odnowić zadawniony uraz prawego kolana. Chcę pójść w te góry. Bo wiem, że będzie to męska przygoda zmuszająca do pokonania własnej słabości, lęku i zwątpienia.

Więc co? - postanowione, pojutrze ruszamy.

Nazajutrz po południu przyszli moi gospodarze Bernard i Charlie.

Przynieśli kurtkę, ciężkie wspinaczkowe buty, lornetkę i broń. Ucieszyłem się, bo był to podobny do mojego Mauser, tyle że mocniejszego kalibru, dostosowany do strzelania w górach. Luneta też podobna, 6 x 42.

Bernard powiedział, że broń jest dobrze przystrzelana na 200 metrów.

Bądź gotów o trzeciej nad ranem, przyjedziemy pod twój hotel.

Tak też się stało. W terenowym Mercedesie było ich czterech: Bernard, Charlie, a także Narsiz - łowczy kantonalny. Za kierownicą siedział Klemens - przewodnik alpejski, a zarazem strażnik łowiecki. Ruszyliśmy ostro w ciemność, serpentynami w górę, potem w lewo, w dolinę Val D'herens. Minęliśmy pogrążoną we śnie wioskę Arola, by w końcu zatrzymać się nad niewielkim, położonym na wysokości 1500m n.p.m. zbiornikiem wodnym. Narsiz robi odprawę. Ustala trasy. Ja pójdę z nim. Klemens poprowadzi Bernarda, będzie im towarzyszył Charlie, który nie jest myśliwym. Pójdzie z nimi tylko do końca szlaku turystycznego, potem wróci, by zająć się przygotowaniem czegoś do jedzenia.

Ruszamy! Jest czwarta rano, lekki brzask. Podchodzimy szlakiem, wijącym się niezbyt stromo w rzadkim modrzewiowym lesie.

Ze zgrozą stwierdzam w pewnym momencie, że deptę po wspaniałych rydzach, których tu nikt nie zbiera. Las zaczyna rzednąć, coraz większe połacie kosówki.

W pewnym momencie porzucamy szlak i zaczynamy piąć się ostro pod górę.

Pojawiają się pierwsze kłopoty. Po każdym 50 - 60 krokach muszę się zatrzymać i wysapać. Chwilami brak mi tchu, a przed oczyma latają iskierki. Jestem trochę zaniepokojony.

Narsiz mnie uspakaja: „powoli, nie nerwowo, rób głębokie oddechy, za chwilę się przyzwyczaisz”. Na którymś z kolejnych przystanków, wskazał coś do tyłu.

To, co zobaczyłem z pewnością było warte włożonego wysiłku. Zza ogromnej, ciemnej, góry strzelał ku niebu oświetlony pierwszymi promieniami słońca ośnieżony szczyt Dent Blanche (4364 m n.p.m.).

Wspinaliśmy się teraz rodzajem żlebu, o skalnym podłożu, z kępami ostrej trawy. Teren wznosił się gwałtownie. W pewnym momencie mój przewodnik powiedział: „O, jest koza z kozłakiem”.

Byłem zdumiony. Wyobrażałem sobie zawsze kozicę jako zwierzę o sukni ciemnobrązowej, prawie czarnej, zaś te miały barwę zbliżoną do naszej sarny. Zwierzęta znajdowały się w górze, w odległości od nas około 300 m i nie zdradzały zaniepokojenia.

Posuwaliśmy się teraz po coraz trudniejszym, skalnym terenie i w pewnym momencie w dole, pod sobą, zobaczyłem następnych kilka sztuk, pierzchających w popłochu, mimo że odległość od nas było dość znaczna. Narsiz wytłumaczył mi, że kozice na niebezpieczeństwo zagrażające z dołu, reagują zachowując jedynie stosowną odległość, lecz niebezpieczeństwo zagrażające z góry powoduje zawsze panikę.

Mimo wspaniałych wkoło widoków, wypatrywałem wciąż kolejnych sztuk.

Aż w końcu są. W lewo, nieco wyżej od nas, na krawędzi zbocza porusza się około 10 sztuk.

„Za nimi pójdziemy” - powiedział mój towarzysz.

Nie wiem, czy ze względu na emocje, czy się już przyzwyczailem, idzie mi się teraz znacznie lepiej. Choć w moim wykonaniu to pchanie się w górę odbywa się głównie za pomocą rąk i nóg. Kozice podążające przed nami zachowują się spokojnie, utrzymując jedynie stałą odległość 300 - 400 m. Jesteśmy już wysoko, zbliżamy się pewnie do 3000 m. n.p.m.

Natrafiamy na coraz większe połacie śniegu i lodu. Zaczynam się niepokoić, czy w ogóle dojdziemy do strzału, a Narsiz jak zwykle spokojnie - „do szczytu jeszcze daleko”.

Wcale mnie tym nie uspokoił. Zdaję sobie sprawę, że jestem już niezłe zmęczony, a strzał w takich warunkach może być nieprecyzyjny.

Po przedarciu się przez rumowisko bloków skalnych zobaczyliśmy po lewej ostro opadające w dół urwisko. Przed nami równą powierzchnie śniegu, zakończoną znów podobnym rumowiskiem. I nagle są!

Wśród tych skał posuwają się spokojnie, skacząc z głazu na głaz. Odległość około 200 m.

Decyduję się błyskawicznie. Będę strzelał. Kładę się na śniegu, broń opieram o plecak, Narsiz wskazuje mi sztukę. Biorę ją w krzyż, wstrzymuję oddech i strzelam.

Całe stado, jak rażone piorunem, rzuca się w dół, w przepaść.

Kozice wykonują nieprawdopodobne skoki, patrzę na to jak urzeczony. I nagle, wyraźnie tak, jedna sztuka została, leży tam około tej skałki, widzę wyraźnie, serce wali jak młot.

Narsiz kręci głową - „trafiłeś, ale nie wiem, czy go podniesiemy, diabli wiedzą gdzie spadł, bo jeśli w tą przepaść?...”.

Nie Narsiz, nie, przecież leży, widzę go wyraźnie, ta rdzawa plama tam...

Przyjacielskie klepięcie po ramieniu - „widzę, brawo chłopie, piękny strzał.

Zostań tu na miejscu, ja po niego pójdę, bo tam niebezpiecznie”.

Zaczynają opadać ze mnie emocje. Patrzę na zegarek, jest piąty września 1989 r. godzina dziewięta z minutami. Robi mi się potwornie zimno. To naturalna reakcja, do tego wysokość, śnieg i północnozachodni, nieoświetlony jeszcze słońcem stok.

Za to wokół dzieją się rzeczy wspaniałe. Słońce zapala coraz to nowe szczyty.

Błękit, pomarańcz, biel, lekka różowość, granat, cała gama szarości - prawdziwa feeria barw. Czuję się jakby w stanie nieważkości, zawieszony między niebem a ziemią.

Wraca Narsiz z kozicą, która taszczy na ramionach. Oglądamy trofeum, twierdzi, że średnie, dla mnie jednak wspaniałe, bo moje.

Od strony Bernarda słychać dwa szybkie strzały. Łączymy się przez radiotelefon. On też ma już kozicę. Ich trasa zejścia jest krótsza i łatwiejsza, więc Bernard zniesie swą kozicę sam, zaś Klemens przyjdzie nam pomóc.

Wydawało mi się to niepotrzebne. Jakże się jednak myliłem.

Zaczynamy schodzić. Narsiz taszczy kozicę, ja plecak i broń.

I nagle orientuję się, że idąc do tej pory z nosem przy skałkach, gnany zresztą emocją myśliwską, nie zdawałem sobie zupełnie sprawy, gdzie zalałem.

A wkoło zgroza! Urwiska, przepaście, rozpadliny.

Posuwamy się wąską półką, w dole jakieś sześćdziesiąt metrów pod nami huczy wodospad.

W połowie tej półki, ze ściany wyrasta kamienna buła. Idąc do góry mieściłem się pod nią

swobodnie. Teraz ani rusz, za nic nie mogę jej wyminąć. Palce kurczowo wbijają się w skałę, ciało samo nabiera jakichś dziwnych rotacji. Nie wolno się bać, bo to niebezpiecznie, no i trochę wstyd.

Idzie do nas Klemens. Jakże lekko się porusza. Co to jednak znaczy wprawa.

Uwolniony od sztucera, plecaka i lornetki, ja również radzę sobie lepiej.

Schodzimy coraz niżej. Jest południe, słońce grzeje, z wysiłku drżą ni kolana.

Zbliżamy się do biwaku, czeka na nas łyk wina i wspaniały szwajcarski ser.

- Tomasz Konarski